

Jolanta Czaratorska

Nikogo! Wydaje się, że w Polsce jest to jedynie aktualna odpowiedź. Gdy mówię komuś, że interesuję się historią polskich socjalistów, to najpierw widzę miny zaskoczenia, zdziwienia, a nawet dezaprobaty. A potem w 100 proc. przypadków słyszę: Wszystko przykryła wysoka warstwa kurzu. Kobieto, kogo to dzisiaj obchodzi? No, a ja? Ja się nie liczę? No, więc dobrze, mnie obchodzi! Rzeczywiście mam namacalne dowody na to, że nawet osoby mocno związane z lewicą dziwią się moim zainteresowaniom.

A cóż takiego urzekło mnie w socjalistach, ich historii, że poświęcam im swój czas? Tym, którzy w naszym kraju już dawno nie istnieją ani dla historii ani dla współczesnych?

Jak to często bywa, człowiek do kłębka dochodzi po nitce. Dla mnie nitką była historia Trybunału Stanu w okresie międzywojennym, działalność Hermana Liebermana, jako oskarżyciela w jednym przed tym Trybunałem procesie w 1929 r, a także działalność opozycyjna PPS wobec sanacji i jej tyleż efektowne, co dramatyczne zakończenie procesem brzeskim oraz uwięzieniem wybitnych postaci życia politycznego II RP w twierdzy brzeskiej.

Okazało się, że socjaliści polscy, którzy biorą początek swej działalności w drugiej połowie XIX wieku zapisali wyjątkowo piękną kartę w historii Polski i to nie dlatego, że sami się świetnie na tych kartach zaprezentowali. To oni, narażając często swoje zdrowie, majątek, a nawet życie postanowili walczyć o szeroko pojęte dobro innych ludzi. Jakich? Dzisiaj to może trudno sobie wyobrazić, że nie swoich kolegów, przyjaciół czy rodziny! Przeciwnie, całkiem obcych sobie ludzi: tych biednych, opuszczonych i zapomnianych przez państwo, tych, których los i życie władzę odchodził w szczątkowym zakresie. Ponieważ współczesne pokolenia są na innym etapie rozwoju społecznego niż te w XIX wieku, ktoś może zapytać: a dlaczegoż to ci ludzie sami nie upominali się o poprawę swego losu? No tak, ale jak może upominać się o swój los ktoś, kto nie umie pisać, czytać, a także nie rozumie otaczającego go świata, nie był nigdzie poza swoją marną chałupą, w której nawet nie żyje, lecz wegetuje? Jak może chcieć czegokolwiek ktoś, komu nie wolno podnieść głowy, a nawet wzroku na pana i dobrodzieja? No, więc, za takimi właśnie, za poprawą ich losu, ujmowali się coraz aktywniej od drugiej połowy XIX wieku socjaliści.

Czy oni nie mieli nic innego do roboty? Czy nie mogli zająć się sobą i swoimi sprawami? Czy oni po prostu zwariowali, żeby pakować się częstokroć w ogromne kłopoty, prowadząc walkę z dużo silniejszym od siebie przeciwnikiem?

Niczego wykluczyć się nie da, ale nie sądzę. Myślę, że wszystko było z nimi w porządku, lecz czołowi socjaliści, ci, którzy walczyli o los biednych, zastraszonych, upokarzanych ludzi mieli gen empatii, czyli współczucia dla niedoli innych ludzi. Czy ten gen ma każdy? Niestety, nie. Tak jak wiele innych genów: jedni mają, a inni nie. To najprostsza odpowiedź na najprostsze pytanie: po co im to było?

W historii Polski sprawy tak się ułożyły, że za pierwszego zdeklarowanego socjalistę uchodzi Ludwik Waryński (1856-1889). Jeśli popatrzy się na jego rok śmierci, to trudno zrozumieć, czym

ten młodo zmarły w więzieniu za poglądy nieszczęśnik tak bardzo naraził się dzisiejszym odnowicielom Polski, że w szale likwidowania wszystkiego, co może mieć coś wspólnego ze słowem socjalistyczny, zlikwidowano w ostatnim 25 leciu nazwy ulic noszące nazwisko Ludwika Waryńskiego. Przecież nie zdążył on mieć cokolwiek wspólnego z Rosją Radziecką, Związkiem Radzieckim, komunizmem, a nawet socjalizmem realnym. Nic! Zdążył tylko głosić konieczność poprawy sytuacji najbiedniejszych! No, więc, czym tak bardzo naraził się współczesnym odnowicielom Polski, że został wycięty w pień z historii?

A Ignacy Daszyński (1866-1936)? Czy ten zasłużony dla Polski polityk ma jakieś zasadnicze wady z punktu widzenia rozwoju naszego społeczeństwa na przestrzeni ostatniego wieku oprócz tego, że był socjalistą? Czy jest inny powód, że nie został on dotychczas uhonorowany pomnikiem w Warszawie, mimo że działa założony w tym celu komitet, a wiele innych postaci mniej lub bardziej związanych z Polską już sobie na tę formę pamięci zasłużyło?

W polskiej historiografii niemal całkowicie nieznany jest cały epizod działalności polskich socjalistów w parlamencie wiedeńskim na przełomie XIX i XX wieku. A wielka szkoda! Bo to bardzo ważna część naszej polskiej historii. Socjaliści galicyjscy, skupieni w Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej Galicji i Śląska Cieszyńskiego (w skrócie PPSD) działali bardzo aktywnie, a przy tym legalnie na terenie zaboru austriackiego. Wprawdzie byli częścią socjaldemokracji Austrii, ale cieszyli się dużą organizacyjną autonomią i zrozumieniem dla problemów Małopolski. Polscy socjaliści byli wybierani w wyborach do parlamentu wiedeńskiego począwszy od 1897 roku, a pierwszym posłem do Abgeordnetenhaus (Izby Posłów – niższej izby istniejącej obok Herrenhaus – Izby Panów) był Ignacy Daszyński. Zasiadał w ławach tego parlamentu niemal bez przerwy do 1918 roku! Miał tak ogromne poważanie w międzynarodowym środowisku socjalistów, że w swej pierwszej kadencji był przewodniczącym całego parlamentarnego klubu socjalistycznego, zrzeszającego przedstawicieli wszystkich nacji występujących w monarchii Habsburgów.

To doprawdy wielka strata, że obecnie nie ma zainteresowania osobą Ignacego Daszyńskiego, który nie tylko był najwyższej próby mówcą, umiejącym przyciągnąć uwagę tłumów słuchaczy pochodzących z bardzo różnych środowisk społecznych. Przemawiając, wiedział znakomicie, na czym polega różnica w kontakcie z robotnikami i chłopami oraz politykami różnych opcji politycznych, nie wyłączając duchownych. Znakomicie rozumiał, na czym polega rola partii opozycyjnej, która posiada ogromne obowiązki. Był liderem socjalistów o absolutnie niezagrożonej przez wiele lat pozycji. Był powszechnie szanowany, nawet przez przeciwników. Na początku XX wieku, kiedy jeszcze Józef Piłsudski identyfikował się z socjalistami, I. Daszyński poprosił go do honor bycia ojcem chrzestnym jednego ze swoich dzieci. J. Piłsudski nie odmówił. Wszyscy socjalistyczni działacze przełomu wieków jak i II Rzeczypospolitej uczyli się od „złotoustego Ignaca” przemawiania, argumentowania, funkcjonowania w polityce i osiągania politycznych celów. Śladami jego poszli galicyjscy socjaliści: Herman Lieberman, Herman Diamand, Jędrzej Moraczewski, Zygmunt Marek, Tadeusz Reger i wielu innych posłów, którzy współtworzyli podwaliny polskiego parlamentaryzmu II RP. Socjaliści z pozostałych zaborów, którzy zaczęli swą działalność jeszcze przed I wojną, również waleśnie przysłużyli się rozwojowi II RP.

Mając świadomość obecnie istniejącej ogromnej niewiedzy o wielu faktach historycznych celowo pomijanych, należy pamiętać, że socjaliści w okresie międzywojennym działali legalnie! To komunistom zakazywano legalnej działalności w okresie międzywojennym skazując ich na długoletnie więzienia. Brano pod uwagę ich radykalne poglądy na temat sposobu zmiany ustroju z kapitalistycznego na socjalistyczny.

W okresie powojennym pamięć o socjalistach nie była hołubiona z przyczyn doktrynalnych i politycznych. Zarówno ich dokonania jak i działalność została potraktowana po macoszemu od chwili połączenia PPR i PPS w 1948 r. Można wykazywać zrozumienie zaistniałej sytuacji, nie zgadzając się z nią, ale trzeba powiedzieć i tym razem: wielka szkoda! I widać to w dzisiejszych czasach, gdy najszerzej rozumiana lewica nie umie znaleźć swojej tożsamości ideologicznej, a za tym programu odnoszącego się tradycyjnie do walki o interesy grup niedoszacowanych społecznie i ekonomicznie.

Nie będę analizować, a tym bardziej zamartwiać się za lewicę działającą w naszym kraju. Musi sobie poradzić bez moich wskazówek i rad. Jednak przypomnę, jak niemal sto lat temu Daszyński w swoich Pamiętnikach, napisał, wskazując na nędzne warunki życia ludzi w Galicji: „Pierwszym obowiązkiem opozycji było organizować masy ludowe, uczyć je, wprawiać do czynności politycznych i społecznych, a nie pchać do kompromisów z rządzącym wrogiem stronnictwem i do objęcia władzy. Opozycja jest równie konieczną, jak i władza większości. Ma ona swoje obowiązki, równie ważne jak władza. Tylko pozornie przypisuje się opozycji większą łatwość działania, niż stronnictwu rządzącemu(...) Kto zbyt śpiesznie wspina się do objęcia władzy, może zniszczyć swoje własne stronnictwo”.

Odreagowanie okresu Polski Ludowej przez wszystkich, a w szczególności środowiska prawicowe, doprowadziło do tego, że wymówienie słowa socjalizm, socjaliści i każdego słowa zaczynającego się podobnie, stało się trudne, a nawet wstydlive. Po raz kolejny powiem: wielka szkoda! Wstydzić się trzeba tego, co rzeczywiście przynosi ujmę: honorowi, poczuciu sprawiedliwości, moralności, naruszeniom dziesięciu przykazań. Każdy, bez wyjątku, ma jakieś momenty w życiu, z których nie jest dumny. Zapewne socjaliści polscy też popełnili szereg błędów. Ale wstydzić nie mają się czego!

Powiem kolokwialnie, oddając istotę twierdzenia wprost: socjaliści polscy XIX i XX wieku odwalili kawał dobrej roboty, a ci w zaborze austriackim, szczególnie, bo warunki mieli lepsze niż w pozostałych zaborach. To wszystko dobre, czego się nauczyli praktykując politykę i parlamentaryzm u Habsburgów, bardzo skutecznie wykorzystali potem dla dobra i chwały II Rzeczypospolitej. Tego dorobku nikt im nie zabierze. Można, co najwyżej, udawać, że tego nie było. Ale co to da? Po co to? Mimo całej krytyki idei socjalistycznych przez ich przeciwników jedno jest pewne, bo widoczne gołym okiem: „Bez wątpienia socjalistom udało się w dużej mierze zwalczyć nieludzkie warunki wczesnego kapitalizmu. W każdym razie w Europie żyjemy w bardziej sprawiedliwym i solidarnym społeczeństwie, niż było ono za czasów Marksa. Marks i cały ruch socjalistyczny mają tu swoje niewątpliwe zasługi”. Nie, to nie ja. To Jostein Gaarder „Świat Zofii. Cudowna podróż w głąb historii filozofii”, Warszawa 1991.

Czy rzeczywiście socjaliści nie powinni nikogo w Polsce obchodzić?!

Jolanta Czartoryska, dr historii, radca prawny, uprawia publicystykę historyczną i polityczną